

Boyles
GRZYWACZ

MEMŁARY

I INNE TEKSTY PRZY ŻYCIU I SZTUCE



M E M Ł A R Y
I INNE TEKSTY PRZY ŻYCIU I SZTUCE

Byłub Grzywacz

M E M Ł A R Y
I INNE TEKSTY PRZY ŻYCIU I SZTUCE

WYBRAŁ, UŁOŻYŁ I OPRACOWAŁ
TADEUSZ NYCZEK

KRAKÓW

Zrealizowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

© Copyright by Joanna Boniecka, Tadeusz Nyczek and Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2009

Dzieła Zbyluta Grzywacza © copyright: Joanna Boniecka

ISBN 97883-242-1104-3

TAIWPN UNIVERSITAS

Opracowanie redakcyjne
Katarzyna Kościuszko-Dobosz

Projekt okładki i stron tytułowych
Sepielak

Na okładce:
Zbyluł Grzywacz, Przyjdź precz, Czerwony, 1999

www.universitas.com.pl

TAiWPN Universitas składa podziękowania
pani Joannie Bonieckiej za cenny wkład pracy
w przygotowanie publikacji.

MODLITWA

*Ojcze mój, którego nie ma przy mnie, któryś jest w niebie dla innych
Niech się święcą imiona Twoje.
Który sprawiasz, że zęby ciała skręcane głodem wbijają się w chmurę
Gdzie pokarmu nie ma
Gdzie jest czad dla duszy.
Święć się obraz Twój rozmazany łzami.
Niech królestwo Twoje zstąpiwszy na ziemię obryzga się błotem
Jak my się bryzgamy.
Bądź wola Twoja. Moja wola zgniła wpuściwszy korzenie
w napuchłą słoną wodą i czerwoną ziemię.
Jako w niebie tak i na ziemi, jako w ziemi tak i pod wodą
ciemno. Duszno.
Głodu mojego powszedniego daj mi i dzisiaj. Nie oszukuj.
Nie odpuszczaj mi win moich jak nie odpuszczam nikomu.
Zapominam z czasem gdy znikną przykryte nowymi, a sam wobec innych
pełen jestem winy.
Nie wódź mnie na pokuszenie. Pocieszenie.
Nie zbawiaj mnie ode złego. Prawdziwego.
Zbaw mnie od dobra, radości, szczęścia, w które gdy uwierzę
wracam w głód następnych dni szczękając zębami.
Zostaw mnie samego. Padającego. Pogodzonego.
Sam z sobą
Oblaskawiony między kamieniami, kamienowany pomiędzy ptakami
nie ucieknę.
Aniele śmierci stróżu mój
możesz odejść.
Rano, wieczór, w bieli, w czerni mnie nie potrzeba pomocy.
Nie ucieknę.
Aż wszystko, co pocieszeniem zamienię w przekleństwo. W zwątpienie.
Nie ucieknę.
Niech się staje.*

wieczorem w czwartek, 7 listopada 1968

Tadeusz Nyczek

Malując, pisząc

Czytelniku, który sięgnąłeś po tę książkę, przygotuj się na wędrówkę po jednym z najbardziej zadziwiających światów autorskich, z jakimi zapewne miałeś do czynienia. Przewodnikiem będzie malarz, co bez trudu dostrzeżesz po kilku zdaniach któregośkolwiek z tekstów. Otóż ten malarz – skądinąd jeden z najwybitniejszych, jakich mieliśmy w ostatnim kilkudziesięcioleciu – równie dobrze mógł zostać pisarzem, co podobnie łatwo dostrzeżesz po pierwszych kilkunastu stronach tej książki.

Że Zbylut Grzywacz z zamiłowaniem pisuje, owszem, wiedzieli choćby czytelnicy krakowskiego jeszcze „Przekroju”, okazjonalnie „Dziennika Polskiego”, „NaGłosu”, „Gazety Wyborczej”, „Dekady Literackiej”. Wiedzieli też geolodzy czytujący „Kamienie”, pismo Zbyluta dla kolekcjonerów minerałów i skamieniałości. Koledzy artyści słuchający referatów Grzywacza na zjazdach ZPAP. Także lekarze czytujący kwartalnik „Ból”, periodyk dla fachowców. Ale jako że regularniej współpracował z pismami raczej niszowymi, środowiskowymi, łatwo było Zbylutowe pisanie przesłepić.

Niektóre z tych tekstów dadzą asumpt do innego domniemania: że ów malarz-pisarz mógł zostać na przykład geologiem, profesjonalnym badaczem odległej przeszłości naszego globu. Wszak niemal całe życie, poczynwszy od lat szkolnych, był zafascynowany kamieniami i minerałami. Z biegiem lat został nie tylko ich zamiłowanym kolekcjonerem, ale i nieprzeciętnym znawcą. Jego znakomita kolekcja jest dziś ozdobą kra-

kowskiego Muzeum Przyrodniczego, a wydawane przezeń w latach 80. i 90. biuletyny i pisma pod egidą Sekcji Miłośników Mineralów i Skamieniałości Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk o Ziemi to świadectwo fachowej ręki publicysty i równie fachowej znajomości tematu.

Już choćby to, że pisywał o kwarcach, kalcytach i skałotoczach, niewątpliwie wyróżnia Grzywacza spośród kolegów po fachu porzucających od czasu do czasu pędzel i chwytających za pióro. O czymże bowiem pisze artysta, jeśli nie o tym, na czym się zna najlepiej – o sztuce... Przypomnijmy choćby eseistykę Tymona Niesiołowskiego, Jacka Sempolińskiego, Jerzego Wolffa, Stanisława Rodzińskiego, Tadeusza Boruty czy Janusza Marciniaka. Tadeusz Makowski, Jan Cybis, Marek Żuławski zostawili znane dzienniki i wspomnienia autobiograficzne. Mimo wszystko trudno zakwalifikować te książki i teksty do Samostnej Twórczości, stanowiącej jakąkolwiek konkurencję dla malarstwa wyżej wymienionych. Także i pod tym względem, jak wyżej powiedzieliśmy, Zbylut G. stanowi znamienny wyjątek.

Powie ktoś: a co z Czapskim? Ze Stajudą? Henrykiem Wańkiem? Ewą Kuryluk? Hanną Bakulą? Wszyscy oni – może najmniej Stajuda – to także pisarze! Owszem, jak najbardziej. Stajuda był etatowym krytykiem dwutygodnika „Współczesność” w latach 60. i autorem niedokończonych niestety, znakomitej monografii Artura Nachta-Samborskiego, dalece przekraczającej konwencjonalne normy pisania przez artystę o artyście. Czapskiego „Oko”, „Wspomnienia starobielskie” czy „Na nieludzkiej ziemi” to wszak najczystsza literatura, choć niepowieściowa. Kuryluk, Waniek czy Bakula funkcjonują w powszechnej świadomości jako malarze i pisarze jednocześnie i równolegle. Kto wie nawet, czy ich pisarstwo nie zdominowało w ostatnim kilkusetletniu twórczości artystycznej. Można by jako ciekawostkę wspomnieć o wierszach Kazimierza Mikulskiego, choć, co tu kryć, to najwyżej miły przyczynek do biografii.

Niżej podpisany, owszem, zna jeszcze jeden przypadek malarza będącego autorem kilku powieści. To Leszek Sobocki, członek byłej Grupy „Wprost” (1966–1986), do której należał także Zbylut Grzywacz. Sęk w tym, że Sobocki żadnego ze swoich maszynopisów nie zdołał, pomimo przedsięwziętych prób, nigdzie opublikować. Powieści te stylistycznie i edytorsko zbyt były niekonwencjonalne, by jakikolwiek socjalistyczny wydawca (utwory powstały w latach 70. i 80.) zechciał je wydrukować.

Skoro jesteśmy przy Grupie „Wprost”: zadziwiającym zbiegiem okoliczności wszyscy jej członkowie – obok Grzywacza i Sobockiego także Maciej Bieniasz i Jacek Waltoś – byli utalentowani pisarsko. Co prawda Bieniasz nigdy, z tego co wiadomo, nie opublikował żadnego większego, samodzielnego tekstu, ale jego listy, od dziesięcioleci pisywane do przyjaciół, to arcydziełka epistolografii (podobnie jak niezliczone, wspaniałe listy Zdzisława Beksińskiego). Waltoś zaś ukrywał swój pisarski talent publikując pod pseudonimem Jacek Buszyński wnikliwe teksty o sztuce (szkoda, że od lat zaprzestał tej działalności).

Jednak z całej Wprostowej czwórki właściwie jedynie Zbylut Grzywacz miałby prawo nazwać się pisarzem z prawdziwego zdarzenia. Przez kilka dziesięcioleci – począwszy od lat 60. do samej śmierci – prowadził w kalendarzach regularne, nierzadko ilustrowane zapiski, z którymi pod względem jakości, objętości i zakresu problemowo-tematycznego może w naszych czasach konkurować bodaj tylko legendarny dziennik Józefa Czapskiego. Obszerne fragmenty Zbylutowego dziennika znajdziesz, Czytelniku, w niniejszej książce w postaci trzech obszernych bloków tekstowych zatytułowanych „Memlary”, „Galimatias” oraz „Było nie było”.

„Memlary”, jak sama nazwa (pożyczona do tytułu całej książki) wskazuje, to rodzaj wspomnień, aczkolwiek dosyć nietypowych. Albowiem nie dość, że zapisanych w formie klasycznych notatek dziennikowych, to w dodatku żartobliwie dystansujących się od jakiegokolwiek „poważnej” prozy wspomnieniowej; memlary mają wszak w sobie tyleż z dostojnych memuarów, co z memlania, bezładnej paplaniny. Ten autoironiczny zabieg słowotwórczy potraktujmy jednak jako rodzaj samobronnego dystansu autora do zawartych w „Memlarach” treści – nierzwykłych poważnych, czasem aż boleśnie dramatycznych. Ogniskują się wokół pewnego bardzo ważnego epizodu z życia artysty – procesu malowania ogromnego obrazu, który uchodzi za *opus magnum* Grzywacza: „Kolejka (siedem etapów życia kobiety)”.

Obraz ów, dziś znajdujący się w zbiorach wrocławskiego Muzeum Narodowego, był efektem nie tylko długotrwałych przemyśleń związanych z jego tematyką i problematyką, ale i wielopłaszczyznowym terenem doświadczeń czysto malarskich. Powstawał ponadto w czasach szczególnie dla Grzywacza traumatycznych. Rozpadało mu się życie osobiste, zaś stan wojenny, który zaczął się dlań niedługim co prawda, ale dotkliwym psychicznie internowaniem, pogłębił tylko wewnątrz-

ną destabilizację artysty. Na to wszystko nałożyły się konsekwencje kolejnego przewartościowania autorskiej koncepcji sztuki, skutkujące kilkuletnim zmaganiem się z powstającym dziełem. Krok po kroku, niemal dzień po dniu towarzyszymy tej swoistej „drodze przez mękę”. Nieliczne momenty satysfakcji okupowane były licznymi chwilami zwątpień nie tyle w sens samej roboty, co w możliwości sprostania postawionemu sobie celowi.

Jeśli „Memlary” są pewnego rodzaju grą z memuarystyką, właściwą prozą wspomnieniową pozostaje „Było nie było”. To rodzaj autobiografii w kilkudziesięciu tematycznych obrazkach, barwny i brawurowo napisany „portret artysty z czasów młodości”, obejmujący pierwszy okres życia, od urodzin po dojrzałość. To także wspaniały portret Krakowa, rodzinnego miasta Grzywacza, w szczególności krakowskiego Kazimierza (z krakauerska: Kaźmirza) lat 40. i 50. ubiegłego wieku, na którego starej skórze tużpowojenny socjalizm zaczął ryc swoje pierwsze głębokie znaki. Grzywacz, urodzony w 1939, więc zrazu kilku-, potem kilkunastoletni, chłonał ten krakowski staro-nowy świat z całą intensywnością i wrażliwością przyszłego malarza realisty, oddając nie tylko smaki i smaczki konkretnych rzeczy, spraw i wydarzeń, ale czyniąc to językiem rdzennego krakusa, co tylko dodało swoistej urody frazom tych wspomnień.

Kraków, głównie ten „kaźmirzowski”, będzie się przewijał przez wiele innych tekstów, przede wszystkim przez szkice poświęcone przyjacielom artystom: Adamowi Hoffmannowi i jego żonie Ewie Kierskiej, Janowi Szancenbachowi i Jerzemu Pankowi, także Bolesławowi Greczyńskiemu, najmniej z nich znanemu, aktorowi, filmowcowi i malarzowi zmarłemu w 1995 roku w Nowym Jorku. Architektura Krakowa będzie też bohaterem niejednego płótna Grzywacza, gdzie bodaj najlepiej zostanie odmalowany dramatyczny konflikt „starego” z „nowym”.

Te szkice są obok „Memlarów” i „Było nie było” najintymniejszą, najbardziej osobistą częścią Grzywaczowego pisania. Giętkie, swobodne zdania, często zamierzenie kolokwialne, podążają za myślą w sposób absolutnie naturalny, gawędziarski, nie unikający emocji. I jaka zachwycająca plastyczność opisu! „Wszystko, co robił Bolek, było gwałtowne, namiętne, głośnie. Taki był na scenie, takie były jego obrazy, jego przyjaźnie i spory z ludźmi. Włosy do ramion, płaszcz do kostek, szalik do ziemi. Wpadał do pracowni w Akademii z głośnym powitaniem i zabierał się do malowania” – to początek szkicu o Greczyńskim.

Ze zdania na zdanie bohaterowie tych tekstów ożywają przed nami w całej swojej fizycznej i mentalnej wyrazistości, gotowiśmy niemal wyjść im na spotkanie... Gdyby nie drobiazg – prawie wszyscy nie żyją. To tylko portrety trumienne...

Jeszcze inaczej pisze Grzywacz o mistrzach-klasykach: Tycjanie, Rodinie, van Goghu, Wróblewskim, jeszcze kilku innych niemiejszej rangi. Ale bo też inny, najzupełniej niezwykający, był cel tych świetnych szkiców. Pisał je człowiek, artysta, szczególnie uczulony na ludzkie cierpienie, ból, wszelką przemoc dewastującą i ciało, i duszę, z tego właśnie punktu widzenia opowiadając o wyżej wspomnianych twórcach i ich najbardziej charakterystycznych dziełach. Nie przypadkiem publikował je w latach 2000–2004 we wspomnianym krakowskim „Bólu”, kwartalniku Polskiego Towarzystwa Badania Bólu. Z „Bólu” też pochodzi kilka niewielkich esejów pomieszczonych w osobnym dziale tej książki zatytułowanym „Sztuka i natura”. Grzywacz, wierny badacz i piewca natury, widział ją jako opozycję, ale i dopełnienie wiecznotrwałego piękna zamkniętego w ziemi i jej formach nieorganicznych (stąd fascynacje geologiczne) – oraz poddanej nieustannemu przemijaniu i cierpieniu materii organicznej z ludzkim ciałem na czele. Również nie przypadkiem prowadził warsztaty i plenery malarskie dla pacjentów krakowskiego szpitala psychiatrycznego w ramach terapii przez sztukę, a w twórczości wielkich mistrzów śledził motywy szaleństwa często warunkującego genialność autora i dzieła.

Ta właśnie część Grzywaczowego pisania wydaje się najbardziej twórcza i na swój sposób odkrywczą. Nikt wcześniej tak nie pisał o relacjach sztuka – natura – cierpienie, w dodatku ujmując te nieproste przecież kwestie w formę szkiców popularyzatorskich, które mogły okazać się pomocne nie tylko dla głównych adresatów „Bólu”, specjalistów od nauk medycznych, ale praktycznie dla każdego, kto być może po raz pierwszy stawał przed „Tratwą Meduzy” Teodora Géricaulta bądź „Ukrzyżowaniem” Matthiasa Grünewalda.

Bywał wreszcie Grzywacz kimś w rodzaju ludowego trybuna, zwłaszcza jako aktywista Związku Polskich Artystów Plastyków przede wszystkim w latach 70. i 80. Ów trybun wychodził na mównice lokalnych sympozjów i ogólnopolskich Zjazdów, wygłaszając płomienne przemówienia-referaty, zazwyczaj przyjmowane z aplauzem przez tę część środowiska plastycznego, która relacje artyści – państwo postrzegała jako upokarzający wasalizm.

Gdyby to były konwencjonalne wypowiedzi publiczne, jakimi szczerze raczył nas poprzedni ustrój lubujący się w oświadczeniach, deklaracjach i sprawozdaniach, zapewne nie byłoby powodu zamieszczać ich w niniejszej książce. Ale wystarczy przeczytać jeden akapit z dowolnego przemówienia – wcześniej przygotowanego lub *ad hoc* improwizowanego – Zbyluta Grzywacza, by przekonać się, jakim odświeżającym językiem i jak przenikliwą argumentacją posługiwał się ów buntownik przeciw konwencji, rutynie, kłamstwu i nowomowie tamtych załganych czasów. Nawet dziś, gdy wydaje się, że wiele powodów, dla których te przemówienia powstały, przeminęło wraz z socjalizmem, istota ich nie straciła nic na znaczeniu. Bo tu bardziej szło o godność artysty w każdym czasie i wobec każdej władzy, niż o partykularne interesy ówczesnej grupy trzymającej pędzle, traktowanej przez urzędników PRL-u jak zbiorowisko dorosłych przedszkolaków utrudniających życie swoim wychowawcom.

Te lata to był najgorętszy okres w życiu Grzywacza-społecznika, malarza, jak to się niezręcznie powiada, zaangażowanego. Dziś powiedzielibyśmy – opozycjonisty, choć wtedy w tym środowisku określenia takie jeszcze nie bywały w modzie. W latach późniejszych, 80. i 90., już tak, być opozycjonistą znaczyło być porządnym człowiekiem i obywatel, prawdomównym i prawym. Myślało się wówczas w tych kategoriach przede wszystkim o pisarzach, dziennikarzach, naukowcach. Malarz, aktor czy muzyk opozycjonista – to wydawało się jakby na wyrost... A przecież bywali i tacy pośród coraz głośniejszej i coraz jawniejszej grupy oponentów władzy. Przykładowo – to właśnie aktorzy na chwilę przejęli ster rządów dusz, ogłaszając słynny bojkot publicznych mediów po 13 grudnia 1981. Grzywacz należał do tych, którzy ponieśli osobiste konsekwencje za swoją niezależną postawę – został internowany, skądinąd jako jeden z nielicznych artystów. Czytając jego wystąpienia zjazdowe z tamtych dawnych lat, bez trudu zrozumiemy decyzję autorów stanu wojennego o potraktowaniu malarza jako „wroga ustroju” zasługującego na karę społecznej izolacji.

Na tym bynajmniej się nie kończy pisarska aktywność i autorska wielostronność Zbyluta Grzywacza. Jako wykładowca akademicki, niemal całe swoje dorosłe życie związany z krakowską ASP, był także autorem licznych wykładów tematycznych, recenzji wystaw i dyplomów, szkiców z teorii pedagogiki artystycznej. Tę część jego pisanej twórczo-

ści pominięliśmy w niniejszej książce, w przekonaniu, że zasługuje na odrębną publikację.

Trzeba by wreszcie powiedzieć o najmniej zapewne znanym epizodzie z jakże bogatej twórczości Zbyluta G. – poetyckim. Bohater nasz bywał bowiem i wierszopisem... Powiedzmy szczerze: bardziej niedzielny, więc takim, co to w młodości uciekał się do poezji jako formy sprzyjającej szczególnie osobistym wyznaniom, którą potem, gdy spełniła już swoją rolę, bez większego żalu porzuca się dla innych, skuteczniejszych i lepiej przystających do charakteru twórcy konwencji. Najciekawszy wydaje się wiersz zatytułowany „Modlitwa”, o tyle ciekawy i ważny, że zawiera swoiste *credo* życiowe i artystyczne malarza, będąc przy tym – znów zgodnie z „opozycyjną” naturą Grzywacza – właściwie antymodlitwą. Pozwoliliśmy sobie tym wierszem otworzyć „Memlary”, traktując go jako motto całej książki.

Na koniec autor niniejszego wyboru i wstępu chciałby uczynić bardzo osobiste wyznanie. Przyjaźnił się z autorem tekstów tej książki. Podzielał jeśli nie wszystkie, to co najmniej zdecydowaną większość świato- i sztukopoglądu swojego przyjaciela. Nie jest więc, niestety, jak na edytora wyboru pism, odpowiednio obiektywny. Jest jednak przekonany, że w całym polskim piśmiennictwie wokółartystycznym nie istnieje książka podobna do Grzywaczowych „Memlarów”. Nie tylko z powodu parokrotnie już podkreślanego bogactwa form, gatunków i zainteresowań autora. Także niezwyklej perspektywy poznawczej, w której mieści się światowa historia sztuki i pejzaż dzieciństwa, refleksje o pochodzeniu minerałów i szczegółowy zapis procesu twórczego. Nawet nie tylko z powodu jakości literackiej tych tekstów, mogących śmiało konkurować z dokonaniem najwyższej klasy profesjonalistów w pisarskim fachu. Idzie jeszcze o coś: o wewnętrzną siłę szczerości i prawdy tych stron. Bo to przy okazji pasjonująca i miejscami dojmująco bolesna opowieść-sповідź o byciu artystą i zwykłym człowiekiem w parszywych i zawiłych czasach. Z wszystkimi jego, człowieka artysty, wzlotami i upadkami, talentem do sztuki i nie zawsze talentem do życia, co często chadza w parze.

Miał w życiu wiele wystaw, indywidualnych i zbiorowych. Jego prace znajdują się w licznych kolekcjach muzealnych i prywatnych. Ale dopiero widzowie wielkiej, pośmiertnej, retrospektywnej ekspozycji, zorganizowanej pod nadzorem kuratorskim Joanny Bonieckiej przez

Muzeum Narodowe w Krakowie (marzec–czerwiec 2009), mieli okazję przekonać się, z jakiego formatu dziełem mają do czynienia. Nie wielką próbkę tej twórczości znajdziesz, Czytelniku, przy końcu niniejszej publikacji. Jeśli zaś sięgniesz po ogromny katalog towarzyszący wspomnianej wystawie, znajdziesz komplet reprodukcji dzieł wraz z obszernymi opracowaniami biobibliograficzno-krytycznymi. Portret Grzywacza-artysty-pisarza zostanie dopełniony.

Wspomnianej Joannie Bonieckiej, ostatniej partnerce życiowej i spadkobierczyni Artysty, wyżej podpisany chciałby w tym miejscu podziękować za udostępnienie materiałów do tej książki oraz pomoc w ich opracowaniu.

Z pamięci

O sobie

Urodziłem się w 1939 roku, tuż przed wojną. Okupację pamiętam ledwo że ledwo, styczeń 1945 w Krakowie – dobrze. W szkole podstawowej miałem jeszcze lekcje religii. Pod koniec robiło się coraz więcej gazetek ściennych o pegeerach i plakatów o Trumanie; szło mi to nieźle, poszedłem do Liceum Plastycznego. Mogłem zawsze robić to, co chciałem, nie spotkałem nigdy tak spokojnego, dobrego domu jak mój. W Liceum najbardziej zajmowała mnie entomologia, mineralogia i paleontologia. Miałem łatwość w pisaniu, byłem sekretarzem ZMP. Potem, dzięki Hodysowi¹, polubiłem sztukę, dzięki Hoffmannowi² polubiłem rysowanie.

Rok przed maturą był październik 1956, chodziliśmy na wiece, na których słyszało się o tym, o czym latami się nie słyszało. Przez jakiś czas znowu były lekcje religii. Dużo czytałem, drukowało się wtedy książki, których latami się nie drukowało. Na Akademii w Krakowie staraliśmy się wszyscy być bardzo nowocześni, to były takie lata, po realizmie socjalistycznym. Geometryzowałem uparcie, a kiedy mnie to znudziło, stałem się realistą i trochę surrealistą. Pisałem wtedy sporo

¹ Włodzimierz Hodys (1908–1987) – historyk sztuki, pedagog licealny i akademicki, pierwszy dyrektor Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Krakowie (1946–1955).

² Adam Hoffmann (1918–2001) – malarz, rysownik, pedagog, mistrz i przyjaciel Zbyluta Grzywacza. Będzie o nim w tej książce wielokrotnie mowa.

i zajmowałem się fotografią. Do teraz od czasu do czasu coś piszę, głównie o sztuce – fotografia mnie nie interesuje.

Po Akademii jakiś czas malowałem bardzo niewiele, prawie nic. Zarabiałem. W uczuciach, jak to w uczuciach – też przytrafiały mi się październiki, styczenie i inne miesiące. W 1966 zrobiliśmy wystawę „Wprost” z Maćkiem Bieniaszem³, Jackiem Waltosiem⁴ i Leszkiem Sobockim⁵; była jeszcze Basia Skąpska⁶, ale kiedy zaczęliśmy coraz głośniej mówić o programie, pokrzykiwać i w ogóle – odsunęła się na bok. Teraz mało maluje – w samotności więcej niepewności, w grupie zawsze łatwiej. Szło nam o sztukę bliską życia, nazwano nas wtedy ekspresjonistami, ceniono zaangażowanie, niech tam. Później zaliczono do nowej figuracji, nieważne. Malowałem dużo, robiłem grafiki, rysunki, płaskorzeźby. Przez 10 lat zrobiliśmy tuzin wystaw.

W 1968 był marzec. Rysowałem i malowałem mówców w gazmaskach, samochody w kolorze khaki i inne. Żyłem z chałtur: szyldy, neony, meble, prospekty, etykiety, plansze. Byłem we Francji, we Włoszech, a także w Bułgarii, w Ermitażu, w Moskwie. Wcześniej, jeszcze z Akademią, we Lwowie, na Krymie, w Grecji i w Wiedniu. Oglądałem bardzo dużo obrazów i ludzi. Nie należałem i nie należę do żadnej organizacji – owszem, w Związku Plastyków próbuję czasem coś zdziałać, ale to już chyba niedługo.

W 1970 był grudzień. Nie bardzo mnie to już poruszyło. Namalowałem cykl obrazów, jeszcze nie całkiem zamknięty, o utracie twarzy, kręgosłupa, o ugniataniu ludzi jak z plasteliny, o mężczyznach i kobietach – manekinach. Wystawiałem gdzie się dało, uzbierało się ponad pół setki udziałów w wystawach krajowych i zagranicznych, kilka indywidualnych. Czasem dostałem wyróżnienie, czasem trzeba było zdjąć jakiś obraz.

Od kilku lat pracuję na Akademii w pracowni malarstwa. Mało kto tam maluje z przekonaniem, z ochotą. Trudno mi się dogadać ze studentami; nie lubią sztuki, czasem nawet nie lubią żyć – takie czasy.

³ Maciej Bieniasz (1938) – malarz, rysownik, pedagog, członek Grupy „Wprost”.

⁴ Jacek Waltoś (1938) – malarz, rzeźbiarz, krytyk sztuki, pedagog, członek Grupy „Wprost”.

⁵ Leszek Sobocki (1934) – malarz, członek Grupy „Wprost”.

⁶ Barbara Skąpska (1938) – malarka, uczestniczyła w pierwszej (1966) wystawie „Wprost”.

Mnie nie bardzo interesuje sztuka współczesna: ta najnowsza irytuje mnie, bo udaje mądrą, a w świecie się gubi i płacze po głupiemu – w dodatku sama w sobie nie wierzy. Maluję nadal, ostatnio trochę mniej. Od jakiegoś czasu sprzedaję obrazy i grafiki, nawet sporo, do muzeów. Myślę o grafice i o nowych obrazach.

styczeń 1976

O sobie II

Najbardziej znane i znaczące obrazy Zbyluta Grzywacza⁷ powstały w latach 1970–80. Wszystkie bez wyjątku dotyczyły wszechobecnego w naszym kraju rozdzwienku między fikcją panującej ideologii i dotkliwą prawdą codzienności. Najdobitniej – już nawet w tytule cyklu – obrazowały to „Fasady”, w których łuszczący się lakier odnowionych na pokaz kamienic odsłaniał zmurszałą tkankę ich ścian i fundamentów. Podobne były obrazy z postaciami ludzi: „Zmięty i odprasowany”, „Wybrakowany”, „Transparentowy”, „Patynowany” z obszernego cyklu „Człowiek bez jakości” i seria „Lalek”, naturalnej wielkości figur kobiecych zbudowanych z dwóch przeciwstawnych sfer – „biologii” i reklamowego manekina. Oba cykle, męski i kobiecy, stanowiły demystyfikację ideologicznego liftingu zakłamującego peerelowską rzeczywistość. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych powstał cykl „Wołowy” o satyryczno-publicystycznym charakterze. „Porwanie Europy”, „Pegaz”, „Corrida”, „Ursus” były żartobliwą opowieścią o świecie racjonowanego mięsa i kolejek po wszystko. Fragmentom imitującym czarno-białą fotografię towarzyszyły w tych obrazach krwiste barwy uskrzydłych szturmówkami tuszy wołowych. Grzywacz był w tamtym czasie malarzem dwoistości świata – i dwoisty był język jego sztuki. W każdym z obrazów dokonywało się zderzenie dwóch odmiennych stylistyk: malarstwa traktowanego jako zapis rzeczywistości i malarstwa jako żywiołu nieposkromionych materii i kolorów. Zasada dwoistości ujawniła się w tamtych latach w jednej jeszcze serii obrazów, w cyklu „Opuszczona”

⁷ Autorem tekstu jest sam artysta; patrz: „Bibliograficzne źródła utworów” na końcu książki.

opartym na motywie świętej nierządniczy – Magdaleny. Miłość ziemską i niebiańską personifikowane przez jedną postać umożliwiały artyście stosowanie ulubionego przezeń dualizmu formalnego i znaczeniowego.

W latach osiemdziesiątych, w mrocznym okresie napięcia przed mającym nastąpić politycznym trzęsieniem ziemi, znikła niemal zupełnie tak charakterystyczna dla Grzywacza gra antynomii. Jego malarstwo stało się jednolicie i jednoznacznie szare, ponure, pozbawione kontrastów. Smakowało jak nie popita wodą pigułka od bólu głowy – bo tak gorzka była ówczesna rzeczywistość. Cykle malarskie z pierwszej połowy tej dekady: „Rekolekcje wiśnickie” i „Wiosna ’82” świadczą o rezygnacyjnej postawie malarza – odejściu od interwencyjnej funkcji obrazów i wyrzeczeniu się resztek powabów malarskiego warsztatu. Zwieńczeniem tego okresu stał się alegoryczny moralitet o narodzinach, życiu i umieraniu zatytułowany „Kolejka – siedem etapów życia kobiety”. Naturalistycznie malowane duże akty charakteryzowała dosadność w przedstawianiu odciskających się na ciele kobiet znaków mijającego czasu. W nacechowane dotychczas dysonansami malarstwo Grzywacza wtargnęła – czy raczej wpełzła – jednorodność świata przeżywanego wyłącznie w kategoriach zła i brzydoty. Jednocześnie, w miejsce stosowanego dawniej języka metafory zjawiała się teraz alegoria prowadząca niekiedy wprost w objęcia kiczu (niektóre z obrazów „wiśnickich” i dwie wersje „Ikara” z lat 83–84).

Ostatnie lata przyniosły kolejną zmianę w malarstwie Grzywacza. Poczuvszy, że jest już wolny od pełnionej przez dwie dekady społecznej służby malarstwem, zapragnął służyć malarstwu, malować to, co mu się podoba, a nie jak dotychczas, to, co mu się nie podobało (to jego własne słowa). Ponieważ, jak każdemu w jego wieku, podobają mu się młode dziewczęta, na nich skupił swoje malarskie zainteresowania. Efektem jest spora ilość wykonanych przed naturą szkiców i studiów aktów, obrazów wyzutyh z wszelkich odniesień znaczeniowych. Niezależnie od ich jakości artystycznej, jedno powiedzieć można na pewno: malarz dotknięty poczuciem dwoistości świata, tym razem zdaje się z nim godzić, przeżywać go w jego jednorodności. O ile jednak w dekadzie poprzedzającej zmianę systemu politycznego w kraju jego wizje bywały jednostajnie ciemne i gorzkie, teraz obrazy promieniają równie jednostajną słodyczą. Obie te skrajności w przeżywaniu świata dowodzą, że kontakt z nim jest niepełny, skażony egzaltacją. Co wię-

cej, ostatnie, skupione na przeżywaniu urody świata obrazy, grzeszą nie tylko niedostatkami malarskiego widzenia – co może być zrozumiałe u artysty latami używającego języka sztuki do celów dydaktyczno-moralizatorskich – ale i zanikiem tzw. pierwiastka duchowego. Poprzednie obrazy mówiące o brzydocie i egzystencjalnej kruchości ciała odnosiły się do losów człowieka w jego także pozafizycznym aspekcie; malowane teraz w manierze bliskiej postimpresjonistom akty urodziny panienek nie są w stanie obudzić refleksji, które towarzyszyłyby zmysłowemu i sentymentalnym doznaniom. Rozjaśnienie palety, większa dbałość o estetykę obrazu, rezygnacja z „pozamalarskich” znaczeń, wreszcie zaufanie dla miłych oku motywów nie są w stanie urodzić malarza – a tego właśnie zdaje się od siebie samego oczekiwać Grzywacz. Może w poszukiwaniu nowych zadań malarskich powinien obejrzeć się wstecz, ku początkom drogi, którą przeszło jego malarstwo, zanim zaplątało się w nie mogący znaleźć końca (dwa malowane ostatnio cykle „aborcyjne”) konflikt z rzeczywistością. Ponad trzydzieści lat temu młody wówczas artysta namalował kilkanaście, ujętych w cykle, obrazów: „Orantki”, „Padający”, „Leżący”. Nie było w nich dwoistości, nie było ostentacji w przedstawianiu brzydoty czy urody świata. Były smutne, ale w smutku prawdziwe i ciepłe, a koloru i materii malarskiej było w nich tyle akurat, ile trzeba, by z obrazu nie wionęło chłodem komunikatu ani grozą potępieńczego krzyku.

wrzesień 1998

Było nie było

Mamusia. O świcie telefon. Słucham? – *Dzień dobry Tadzii.* – Pomyłka, proszę pani. – *Nie Tadek?* – Nie, pomyłka. – *Jak to, nie Tadek?* – Nie. – *A kto mówi?* – Pomyliła pani numer. – *Jak nie Tadek, to kto mówi?* – A pani kim jest? – *Ja? Ja jestem mamusia!*

Mamusię potrafią dać Tadkom wszystko, najbardziej pierś i poczucie bezpieczeństwa. Tatom już nie wszystko, nawet nie zawsze potrafią dać jak trzeba, jak trzeba dać. Najlepiej potrafią dać szkołę nauczycielom, jak już Tazio pójdzie do szkoły, i się we znaki starym, od dawna osieroconym obcym facetom, co odsypiają pijaństwo, mają kaca i numer telefonu za mało inny niż ich synek.

Ale czasem zdarzy się, że taka obca mamusia niechcący zrobi dobry uczynek i podsunie myśl jak zacząć pisanie autobiografii, która dawno już jest napisana i tylko nie wiadomo było jak ją zacząć.

Akt oskarżenia. Kiedyś wrzasnąłem do mamy⁸, że chce mnie zabić. Nie wytrzymałem już bólu kolejnego zastrzyku wtłaczającego w mój pośladek penicylinę. Czuję, jak mi się rozstępują włókna mięśnia półdupka, jak niesprawiedliwą przemocą wdziera się pomiędzy nie oleista substancja. Stałem na łóżku z podniesioną koszulą, łzy ściekały mi po twarzy, byłem zmęczony, bezsilny, chciałem być zdrowy, ale nie za wszelką cenę. Nie bałem się zastrzyków, przywykłem do nich – ale mięso mojego tyłka było już tak maltretowane po dwóch tygodniach zastrzyków, że krzyczało, że już ma dość, że jak długo można, że dajcie mi spokój, że już więcej nie zniosę.

⁸ Eugenia Grzywacz, z domu Durek (1906–1989), pielęgniarka.

Wiedziałem, że to chwilowy kryzys, że to minie, że się wzniosę ponad krawędź bólu, że mama zrobi wszystko, by mi oszczędzić cierpienia – choć do tej oleistej penicyliny trzeba było użyć grubej igły – ale nie mogłem, nie potrafiłem. Z włosami sklejonymi potem gorączki i cierpienia, z napiętymi – choć wiedziałem, że je trzeba było rozluźnić – poślądkami, pobierałem od mamy kolejną porcję uzdrawiającego bólu.

Te anginy dopadające mnie kilka razy w roku to była zmora mojego dzieciństwa. Podobno nie można mi było wyciąć migdałów, miałem zbyt krótkie podniebienie i taka by mi się przepaść zrobiła w nosogardzieli, że nie mógłbym nic ciekawego powiedzieć, boby całe powietrze uciekało ze mnie nie dotykając strun głosowych i one zmarniałyby mi nie używane. Więc nosiłem te moje migdały latami, żeby móc sobie w bezbolesnych przerwach swobodnie pogadać a one sobie swobodnie ropiały na wierzchu i od środka, wywoływały gorączkę i ból nie do zniesienia przy przełykaniu. Kiedy ropiały na wierzchu żółtawymi plamkami, pomagało ssanie witaminy C albo sklepana na czubku aluminiowa łyżeczka, którą te plamki można było przed lustrem, pokonując ból, zeskrobać. Bolało, ale za to przestawało boleć. A jak ropiały w środku, to było gorzej, bo trzeba było brać tę penicylinę – a później, kiedy się już na nią uodporniłem, trzeba było iść do laryngologa i on to ciął i wygniatał. Nazywało się to absces i kiedym pluł krwią i ropą na podstawioną blaszaną nerkę, śmierdziało jak z patroszonej kury. Ale zanim wróciłem od Bonifratrów albo ze Skawińskiej⁹ na Krakowską, ból ustępował, mogłem już przelykać rosół z kury, który się rekonwalescentowi należał, wrócić do łóżka i do przerwanej lektury. Gdyby nie ta angina, tobym tak dużo nie czytał – no bo jak długo można się bawić w wojnę buteleczkami po penicylinie, kryć je w wąwozach i na wzgórzach kołdry, strącać na prześcieradlane dno?

Pierwsze lektury. „Czytaj dziewczynko, czytaj kolego, nowe książeczki Krzyżanowskiego”. Było w domu tych książeczek sporo, ale zapamiętałem zaledwie jedną: „Co wolisz – wieś czy miasto?” z pięknymi kolorowymi obrazkami przedstawiającymi a to wieśniaka na furze pełnej złocistego zboża, a to pana motorniczego kierującego błękitnym tramwajem pełnym ludzi jadących do pracy. Wieś i miasto tak mi się

⁹ Szpital oo. Bonifratrów, przychodnia zdrowia przy ul. Skawińskiej – znane adresy lecznicze na krakowskim Kazimierzu.

na tych obrazkach podobały, że nie umiałem odpowiedzieć na tytułowe pytanie – teraz dopiero wiem – i wiem to już od wielu lat, że moim środowiskiem naturalnym jest miasto i basta.

I była książka o tym, jak termometr zachorował (najpierw skarżył się, że głowa, potem, że mu spuchła nóżka i położył się do łóżka), były wierszyki Magdaleny Samozwaniec¹⁰ o tym, jak marcepan i marcepani byli w sobie zakochani (straszne było, że kiedyś na oczach marcepani znikł marcepan w łasej krtani) i wiele innych, które czytała nam mama albo ciocia Lena, ale wszystkich w niedługim czasie nauczyłem się na pamięć. A kiedy nastał czas samodzielnej lektury poznałem Antka Grudę¹¹, bohatera powieści pod tym tytułem i stał się on moim wzorem, ale nie takim, który zachwyca i którym chciałoby się być, lecz takim, co budzi współczucie. Litowałem się nad nim tak samo jak nad sobą samym i czułem, że jestem tylko taki jak on – brzydki, biedny, nie najmądrzejszy. Ot tylko taki – i nic więcej. Coś mnie od małego do realizmu ciągnęło, nie ku literackim fikcjom. Nie zapamiętałem ani jednego słowa z powieści o tym „Jak Zbylut został rycerzem”¹², nie zamarzyłem nigdy, by przywdziać rycerską zbroję – ale buty Antka Grudy, zbyt duże na niego, dziurawe i przemakające – te pamiętam po dziś dzień, polubiłem je za ich żalosną prawdziwość i kiedy o nich myślę, stają mi przed oczami buciory namalowane przez Van Gogha.

Żelazny wilk. Przeceniając mój system nerwowy, mama zaczęła mi kiedyś czytać „Opowieść o żelaznym wilku”¹³. Niby normalna bajka – ale w pewnej chwili coś w niej skoczyło z drzewa na tego księcia czy rycerza i zaczęło go kolanami okutymi w żelazną zbroję dusić i się rozryczałem już po pierwszej stronie i mama oddała książkę do biblioteki, a ja pozostałem w żalu, że do lektury nie dojrzałem. Pamiętam, żeśmy się z mamą zastanawiali: oddać, nie oddać. Przegrałem z własnym stra-

¹⁰ Magdalena Samozwaniec (1894–1972) – pseudonim literacki Magdaleny Kossakówny, córki sławnego malarza Wojciecha Kossaka, skandalizującej pisarki satyrycznej.

¹¹ Maria Kędziorzyna, „Antek Gruda”, powieść z roku 1938.

¹² Stanisław Wilczyński, „Jak Zbylut został rycerzem”. Zbylut Grzywacz miał zapewne w ręce III wydanie tej książeczki, z roku 1947, nakładem krakowskiej księgarni T. Gieszczykiewicza.

¹³ Właściwy tytuł: „Bajka o Żelaznym Wilku” (1911), autorstwa Wacława Sieroszewskiego.

chem, chyba ustaliliśmy, że kiedyś weźmiemy się ponownie za metal, a teraz przerobimy tekstylia w rodzaju „Gałgankowej Balbisi”¹⁴, „Niebieskiego mundurka”¹⁵, czy „Żółtej cizemki”¹⁶. Do żelaznego wilka nie wróciłem – czytałem o prawdziwych wojnach opisywanych przez Kraszewskiego, Sienkiewicza, Bunscha i Gołubiewa. Chłopcy, zanim się własnej historii dosłużą, czytają książki historyczne.

Nie, chyba to nie zawsze jest tak, bo mój tata, kiedy miał tyle lat co ja teraz, czytał w kółko „Faraona” i „Trylogię” – co jedno skończył, to drugie zaczynał – a przecież już miał swoją historię i przeżył obie wojny światowe. No to przyznam się, że nie wiem, jak jest naprawdę z tymi chłopcami i z historią – dość, że czytałem dużo i tak się w tym czytaniu zaprawiłem, że choć już potem nie miewałem angin i wycięto mi jednak te moje migdały, to nadal czytałem i to coraz więcej. A jeszcze później, kiedy już byłem naczytany, to zacząłem pisać. I tak, od anginy do pisania, tłumaczy się prosto to, co masz przed sobą.

Pierwsza materia. „Pierwszą materią artysty nie jest nigdy natura lecz zawsze inne dzieło sztuki”. Trzeba oglądać obrazy, żeby je malować, słuchać muzyki, żeby ją komponować, czytać książki, żeby je pisać. Na szczęście nie każdy, kto czyta, zabiera się za pisanie, boby nas książki zadusiły nadmiarem – a książki są, by się łatwiej oddychało. To zdanie o pierwszej materii artysty napisał André Malraux, którego książki też czytałem, np. „Dola człowiecza” i „Klimaty”¹⁷, ale nic z nich nie pamiętam, nawet klimatów. Strasznie się mało pamięta z przeczytanych przed laty książek, strzępy zaledwie. Ale tak ma być, książki przetrwają się jak każdy pokarm i na coś tam one się w nas przetwarzają. Resztę się wydała przez specjalny otwór odbytowy w pamięci; mówi się przecież o dziurawej pamięci. Z czasem zwieracz zupełnie się dezeluje i pod koniec życia wysypuje się z człowieka to, co zaległo najgłębiej – dziecięce lektury i dzieciństwo samo. Wie o tym każdy młody, który

¹⁴ Janina Broniewska, „Historia gałgankowej Balbisi”, 1936.

¹⁵ Wiktor Gomulicki, „Wspomnienia niebieskiego mundurka”, 1906.

¹⁶ Antonina Domańska, „Historia żółtej cizemki”, 1913.

¹⁷ Pomyłka Z. Grzywacza wynika zapewne z podobieństwa nazwisk: autorem „Klimatów” (1928; polskie wydania 1930, 1957 i nast.) nie jest André Malraux, lecz André Maurois.

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

